

Polubić swój głos

W Bayreuth śpiewa się łatwiej niż gdzie indziej – mówi światowej sławy tenor **PIOTR BECZALA**, który w lecie wystąpi tam w „Lohengrinie” Wagnera. A w grudniu Wiedeń usłyszy go w „Halce” Moniuszki

ROZMAWIA JACEK HAWRYLUK

NEWSWEEK: Jak to jest z tym Moniuszką? Naprawdę go słuchamy czy tylko przy państwowych okazjach?

PIOTR BECZAŁA: Ja nie tylko słucham, ale i śpiewam. Myślę, że Rok Moniuszkowski, czyli państwowa okazja, przybliża wszystkim jego postać.

Znamy go czy nie?

– Nie znamy Moniuszki, ale to jest szersze zagadnienie. Powstały stereotypy, opowiadki na jego temat, pozamuzyczne historie. Zapominamy o tym, że był po prostu dobrym kompozytorem. Gdy porównamy go ze współczesnymi mu uznanymi twórcami, to Moniuszko nie ma się czego wstydzić. Również w twórczości lirycznej był wybitny.

Nawet w zestawieniu z gigantami pieśni?

– Schubert jest pewnie poza zasięgiem... Ale znam wielu wspaniałych muzyków na świecie, specjalistów od pieśni, którzy cenią Moniuszkę. Lubimy powtarzać, że „Moniuszko jest prowincjonalny”. No cóż, Polska jest trochę na obrzeżu Europy, sami skazujemy się na ten dystans do świata. Ale chodzi o to, by go zmniejszać. By być w centrum albo przynajmniej w jego pobliżu.

Czy problem polega na tym, że Moniuszko jest bardziej prowincjonalny niż europejski?

– Moniuszko tworzył w czasach, gdy Polski nie było. Jednak jego kompozycje są tą polskością przesycone. On chciał, by jego muzyka trafiła pod strzechy, by była wykonywana. Nikt nie chce pisać do szuflady. Warto też wejść w jego psychikę. To był bardzo skromny człowiek, ojciec wielkiej rodziny, przez wiele lat borykający się z problemami finansowymi. To wszystko trzeba wziąć pod uwagę.

Ale nie da się ukryć, że Europa nie słucha Moniuszki.

– Słucha, ponieważ ja go śpiewam na koncertach! (śmiech)

Będę okrutny: słucha Beczały.

– Śpiewam serię koncertów galowych i zawsze włączam do nich co najmniej jedną arię Moniuszki. Ciekawość powoduje, że publiczność zaczyna potem szukać w internecie.

Błogosławieństwo internetu, bo znaleźć opery Moniuszki na płytach nie jest łatwo.

– Oj tak. Chciałem ostatnio kupić „Halkę” i miałem wielki problem.

Europa słucha Dworzaka, Smetany, kompozytorów rosyjskich. W czym Moniuszko jest od nich gorszy?

Czego mu brakuje?

– Gdybym wiedział, to cofnąłbym się w czasie i mu coś poradził...

Założmy, że pan wie...

– Studiował w Berlinie, ale krótko. Dobrze by było, żeby od razu pojechał na konsultacje do Paryża, Wiednia. To jest tak jak ze skokami narciarskimi. Gdyby Małysz skakał tylko w Wiśle i Zakopanem, nie byłby mistrzem świata.

„Kilka razy zdarzało mi się bisować w czasie spektaklu operowego i zawsze czuję dyskomfort, nie lubię tego

ta i medalistą olimpijskim. Gdybym został w Polsce, pewnie bym tutaj śpiewał, ale nie miałbym porównania z najlepszymi na arenie międzynarodowej. Nawet Jan Kiepura – który wyjeżdżał z Warszawy do Wiednia z listem polecającym – wiedział, że jest to międzynarodowy zawód. Tak samo jest z kompozytorami. Czesi są tak cenieni, bo twórcy, których pan wymienił, szlifowali umiejętności w Wiedniu, pokazywali utwory Brahmsowi, Schumannowi. Może Moniuszko był zbyt skromny? Może miał jakieś ograniczenia, problemy osobiste? Nie można odmówić Moniuszce inwencji melodycznej i głębi artystycznej. Ale może w odmiennej konstelacji powstałaby trochę inna muzyka? A tak to powtarzamy sobie, że to twórczość mało popularna, a język polski taki trudny...

Czeski nie jest łatwiejszy.

– Właśnie. To chyba jest nasza polska cecha – i mówię to ogólnie – że nie potrafimy się wspierać, że nie do końca cenimy naszą muzykę. Nigdy jednak nie jest za późno, by to zmienić. Od lat śpiewam podczas recitali Moniuszkę, także Karłowicza. Pod koniec roku wystawimy „Halkę” w Wiedniu.

Świat kupił „Króla Rogera”

Szymanowskiego, ostatnio coraz chętniej spogląda w stronę „Pasażerki” Wajnerberga. Po Moniuszkę zachodnie teatry nie ustawiają się w kolejce. Czy któraś z jego oper ma szansę zaistnieć tak jak „Roger”?

– Aż tak jak „Roger” to nie. Dzieło Szymanowskiego to rzecz o tematyce uniwersalnej, filozoficznej, obyczajowej. Opery Moniuszki są bardzo konkretnie umieszczone w czasie i w przestrzeni, co współczesnych reżyserów stawia w narożniku, jeśli nie pod ścianą. Daje im mniejsze pole do popisu, mniejszą swobodę w interpretacji takiego dzieła jak na przykład „Halka”. Ale nie odpuszczam i dlatego wystawimy ją w grudniu w Theater an der Wien w Wiedniu. Zaśpiewam Jontka, wystąpi także Tomasz Konieczny, będzie dyrygował Łukasz Borowicz, spektakl wyreżyseruje Mariusz Treliński. Już są zakusy, by była to koprodukcja z kilkoma teatrami, na pewno spektakl pokaże w lutym 2020 roku Teatr Wielki Opera Narodowa. Będzie to ważny krok w popularyzacji Moniuszki. Czy się uda? Nie wiem. Dużo zależy od tego, jaka to będzie produkcja.

Jakim cudem doprowadził pan do tego, że „Halka” zostanie wystawiona w Wiedniu?

– To kwestia konsekwencji i mojej pozycji w Wiedniu. Jestem tam bardzo ceniony. Powiedziałem dyrektorowi Theater an der Wien, że bardzo zależy mi na tym, by któraś z polskich oper została wystawiona – padła propozycja „Halki”. Rozmowy się toczyły, nabierały rumieńców, aż do finałowej akceptacji.

Jaka to będzie „Halka”? Bardzo współczesna?

– Proszę się niczego nie obawiać! Rozmawiałem szczerze z Mariuszem Trelińskim. Zależało mi na tym, żeby wiedział, iż wystawienie w Wiedniu zupełnie

nieznanej opery, jaką jest „Halka”, musi być bardzo atrakcyjne. Żeby spektakl spodobał się zarówno krytykom, jak i publiczności. I by poszedł w świat. To musi być inscenizacja czytelna także dla tych, którzy z nazwiskiem Moniuszki zetkną się po raz pierwszy.

Jak to się stało, że dopiero w tym

roku zadebiutował pan w roli

Cavaradossiego w „Tosce” Pucciniego?

– Lepiej późno niż wcale.

Nie wierzę, że nie było wcześniej okazji.

– Były, ale byłem wówczas zajęty czym innym. Ważne debiuty planuje się z dużym wyprzedzeniem. Po tym, jak zaśpiewałem Maurizia w „Adrianie Lecouvreur”, zdecydowałem się na Cavaradossiego. A to partia, która dobrze mi leży w głosie.

I jak się pan czuł w Operze

Wiedeńskiej, gdy w trakcie spektaklu trzeba było bisować arię?

– (*śmiech*) To jest transcendentalny moment w operze. A szczerze? Nie lubię tego.

Z powodów czysto towarzyskich? Bo przecież opera to praca zespołowa.

– To jedno, ale i dramaturgicznych. Kilka razy zdarzało mi się bisować w czasie spektaklu i zawsze czuję dyskomfort. Cavaradossi ewentualnie bisuje, kiedy Toski nie ma na scenie. Dopiero ma wejść. Zdarzało mi się jednak bisować arię Werthera w operze Masseneta w Barcelonie – i to jest moment, że tak powiem, zupełnie nie bisowy, w którym moja partnerka, Charlotte, wciąż pozostawała na scenie. Było mi jej strasznie żal...

W tym roku w lipcu powróci pan na Festiwal Wagnerowski w Bayreuth.

Polubił pan tego „Lohengrina”?

– Lubię niebieski kolor, ta produkcja mi odpowiada.

Trudno się śpiewa w Bayreuth?

– Łatwiej niż gdzie indziej.

Naprawdę?

– Akustyka jest świetna. Występuję w spektaklu z dyrygentem Christianem Thielemannem, który jest fenomenalny w tym repertuarze. Zgadza się w pełni.

Wahał się pan przed zaśpiewaniem Lohengrina w twierdzy Wagnera?

– Nie, bo po drezdeńskim „Lohengrinie” wiedziałem, że ta partia wejdzie do mojego repertuaru. Ze śpiewaniem w ubiegłym roku było trochę turbulen-

cji. Ostatecznie wskoczyłem w miejsce Roberta Alagnii – musiałem wiele rzeczy przesunąć, z innych zrezygnować. Już nigdy więcej tego nie zrobię. Po prostu jestem za poważnym śpiewakiem, żeby sobie fundować takie sytuacje. Ale opłacało się, uważam, że było to dla mnie ogromne doświadczenie.

Będą kolejne debiuty w nowych rolach?

– Tak, przede wszystkim „Halka”. Jontka zaśpiewam po raz pierwszy. A następny debiut w lecie przyszłego roku – wykonam Radamesa w „Aidzie” Verdiego. Najpierw podczas koncertów, później na otwarcie sezonu 2020/21 w Metropolitan Opera w Nowym Jorku. To duże wyzwanie.

„Na otwarcie sezonu 2020/21 w Metropolitan Opera w Nowym Jorku wykonam Radamesa w „Aidzie” Verdiego. To duże wyzwanie

W Warszawie podczas X Konkursu Moniuszkowskiego zasiadał pan w jury. Niektórzy śpiewacy unikają tego rodzaju wyzwań.

– Robiłem to pierwszy raz. To ciężka praca. W porównaniu z innymi jurorami – dyrektorami oper – byłem w odmiennej sytuacji. Ja żadnego z tych młodych śpiewaków nie zatrudnię po konkursie. Przyznałem jedynie nagrodę pozaregulaminową. Przesłuchania były dla mnie ciężkim momentem, bo bardzo chciałem wszystkim pomóc. Wiem, jak trudno jest wykonać trzy arie czy pieśni i dopiero na zakończenie dostać aplauz, chociaż – być może – to pierwszy utwór był najbardziej atrakcyjny. Trzeba sobie z tym poradzić. Konkurs to skomplikowana psychologicznie sytuacja, która powinna wzmocnić młodych śpiewaków.

Trudno jest chyba wysiedzieć śpiewakowi w komisji. Rozumiem, że czasem chciał pan podejść i powiedzieć: „Chłopcze, tego Hrabiego trzeba zaśpiewać inaczej.

A Cavaradossiego tak i tak”.

– Albo: „Po co, dziewczyno, śpiewasz tę rolę? Kto ci wbił do głowy, że masz wykonywać tę arię, skoro twój głos jest zupełnie inny”.

Komu dziś potrzebne są konkursy?

W dobie serwisów społecznościowych, kanałów streamingowych, YouTube’a, telewizyjnych talent show...

– Ależ to jest talent show! Konkursy są potrzebne, ważne jest obcowanie z młodym artystą na żywo. Jestem przeciwnikiem wszystkich tych wyreżyserowanych telewizyjnych imprez, bo to jest większy show niż talent.

Na tym to polega.

– Wiem. Ale na konkursach muzycznych chodzi o talent. Komisja i publiczność od razu mogą ocenić to, co się dzieje na scenie. Liczy się bezpośredni kontakt. Nawet przerwa między wykonywanymi ariami wiele mówi. A to, w jaki sposób śpiewak wchodzi i wychodzi, daje mi wyobrażenie, jak on będzie się później zachowywał na scenie.

Pan omijał konkursy.

– Byłem artystą niekonkursowym. Śpiewałem chyba w trzech...

Bo wziął pan samochód od ojca, 200 marek od dziadka i ruszył do Linzu.

– A wcześniej z kolegami do Wiednia. Dzisiaj młodzież ma zupełnie inne możliwości. Wsiada do samolotu i leci na przesłuchania. I dobrze. Jest łatwiej. Po co się tarabanić 650 km małym fiatem, skoro można kupić bilet lotniczy i być u celu za godzinę.

Ale dzięki temu ma pan wspomnienia...

– I to jakie! Dzisiaj młodzież nie ma czasu na wspomnienia. Ale nie ma też cierpliwości. Wszystkim młodym śpiewakom życzę wytrwałości. Oni muszą być sobą. Muszą polubić siebie i swój głos. By nie tworzyć konfliktu między osobowością a rzeczywistością. **N**

Jacek Hawryluk

JEST ZASTĘPCĄ DYREKTORA
PROGRAMU II POLSKIEGO RADIA